

Tu mówią londyńczycy

Wojciech Falkowski

Alicja Moskał

Stanisław Portalski

Halina Taborska

Stanisław Portalski: Pewnego dnia odwiedził mnie oficer z komunistycznej Polski i powiedział: „Pańska rodzina bardzo chce, żeby pan wrócił”. Opowiadał mi, że był w Moskwie na paradzie zwycięstwa po zakończeniu wojny. Prowadził na niej polską kompanię. Mówił, że rozmawiał ze Stalinem i że Stalin chce silnej Polski.

Odpowiedziałem mu, że może i Stalin tak mu powiedział, ale na pewno nie chce on Polski niepodległej. Może chce Polski silnej, żeby miała silną armię służebną wobec Związku Radzieckiego. Mam pewne pojęcie o Rosji, które sam sobie wyrobiłem podczas dwuletniego pobytu w tym kraju. Uważam, że jest to nasz odwieczny wróg i nie wydaje mi się, żeby Stalin mógł nagle zmienić zdanie. Przecież zabrał połowę Rzeczypospolitej, połowę terytorium, masę ludzi wywiózł na Syberię. Na tej nieludzkiej ziemi Polacy mieli się przecież bardzo źle, aż do czasu umowy Sikorski-Majski. Później była, że tak się wyrażę, pewna przerwa, ale gdy Rosjanie zaczęli zwyciężać pod Stalingradem i pod Kurskiem, zmienili

strategię i już nie wypuszczali Polaków na wolność. Tylko sto tysięcy ludzi uciekło do Persji, na tym koniec, a przecież wywieziono prawdopodobnie prawie dwa miliony. Czyli wielu ludzi tam zginęło po prostu z głodu i ciężkich warunków.

Ten oficer, Józef Kuropieska, nie zgadzał się ze mną, ale też więcej mnie nie namawiał do powrotu.

Skąd się tu wzięliście?

Halina Taborska: W 1956 roku sytuacja w Polsce zaczęła się trochę zmieniać. Mogłam pójść na studia doktoranckie do kogoś, o kim marzyłam, by u niego studiować. Rozpoczęłam studia na Uniwersytecie Warszawskim, na wydziale filozofii, w zakładzie estetyki prof. Władysława Tarkiewicza. Został on na długie lata odsunięty przez władze od pracy akademickiej i wrócił na uniwersytet około 1957 roku, właśnie do zakładu estetyki. Prowadził znakomite seminarium, nie tylko ze względu na uczestników, ale oczywiście ze względu

na Profesora. Mieliśmy dość dużą swobodę, w gruncie rzeczy mogliśmy pisać prace o tym, o czym chcieliśmy. Mnie akurat interesowała kultura i filozofia, zwłaszcza filozofia brytyjska. Wybrałam niezwykle wówczas temat – miałam pisać o brytyjskiej estetyce semantycznej. Nie będę tu tłumaczyć, czym jest estetyka semantyczna, zajęłoby to zbyt wiele czasu (*śmiech*). Profesor się zgodził. Po dwóch latach okazało się, że powinnam chociaż na miesiąc, dwa wyjechać do Anglii – chodziło o to, by móc skorzystać z British Library. No i wyjechałam. Nawet bez jakichś większych przeszkód. To był rok 1959.

Alicja Moskal: Jak się dostałam do Londynu? W roku 1956 okazało się, że można otrzymać paszport, jeżeli ktoś ma rodzinę za granicą. Złożyłam podanie, ale wyglądało na to, że mogą być różne trudności. Ostatecznie jednak dostałam pozwolenie na odwiedzenie mamy w Londynie. Przyjechałam tutaj w 1956 roku. Nie widzieliśmy się tyle lat... Mój Boże! Byłam wszystkim oczarowana. Mama namawiała mnie, abym została, ale nie było za bardzo wiadomo, jak to zrobić. Poza tym, wcale nie chciałam zostawać. Mama, która w Polsce nigdy nie pracowała, musiała tu pracować. Mieszkała w wynajętym pokoju. Było jej bardzo ciężko. Powiedziała jej: „Nie mamusi, skończę studia i albo ty przyjedziesz do mnie, albo może ja przyjadę do ciebie, ale jak już będę miała dyplom, może wtedy będzie łatwiej jakoś razem”. Mama bardzo nie chciała przyjeżdżać do Polski. Podczas przestuchiwania komuniści wybili jej zęby i powiedzieli: „Ty już nigdy Polski nie zobaczysz”. Bardzo się bała wracać. Powiedziała, żebym to ja do niej przyjechała. Postanowiłam więc skończyć studia i wtedy zdecydować, czy przyjechać do mamy. Tak więc to wyglądało. Odłożyłam swoją decyzję o wyjeździe do Londynu na stałe do momentu ukończenia studiów.

Przyszła rok 1956 i wyglądało na to, że nadchodzą jakieś zmiany. Rokossowski został wyrzucony, przyszedł Gomułka, który na początku bardzo się do nas przychylił. Myślałam, że może to już jest koniec tego wszystkiego. W tym mniej więcej czasie dostałam telegram, że mama jest ciężko chora na raka i czeka ją bardzo trudna operacja. Miałam natychmiast przyjechać. Poszłam do konsulatu brytyjskiego i pokazałam ten telegram. Tym razem wizę otrzymałam bardzo szybko.

Na początku pracowałam w galerii Mateusza Grabowskiego. Moja mama była jego stałą klientką. Przez pierwsze miesiące przede wszystkim czekałam, aż mamie się poprawi, ale tak się nie stało.

Dlaczego zostaliście?

Stanisław Portalski: Prócz tego dostałam się tu na studia i chciałam skończyć inżynierię chemiczną. Kuropieska powiedział, że może mi wydać specjalne pozwolenie, abym mógł tu zostać. Wtedy mu wtedy odpowiedziałem: „Tutaj pana się nikt nie będzie pytał czy pan mu da pozwolenie na pozostanie czy nie”. Powiedziałem mu też, że wątpię, czy do Polski wróci więcej niż jedna czwarta ludzi, którzy tutaj są. Prawdopodobnie wrócą ci, którzy mają rodziny w Polsce. Ja jednak nie miałem ani żony, ani dzieci w Polsce, więc na razie poczekam, zostaną tutaj i skończę przynajmniej studia. Zobaczmy co będzie dalej. Kuropieska powiedział wtedy: „Jak oni tu są niezdyscyplinowani”. Myślał, że jak przyjedzie, to będzie w prawo zwrot i na okręt marsz, a tutaj się okazało, że są pewne trudności.

Halina Taborska: Dlaczego zostałam na dłużej? Z powodów osobistych. Po prostu się zakochałam! (*śmiech*). Można powiedzieć, że z wzajemnością. Zakochałam

się w młodym człowieku, który był poetą. Później stał się bardzo znanym polskim poetą. Był teatrologiem – skończył studia już w Wielkiej Brytanii, walczył w powstaniu warszawskim, wyzwoliła go armia brytyjska z obozu jenieckiego w Sandbostel. Po wojnie udało mu się ukończyć studia. Oprócz tego, że był teatrologiem, anglistą i poetą, przez trzydzieści pięć lat pracował w Sekcji Polskiej BBC. Kiedy się poznaliśmy, zaczynał właśnie pracę w BBC. No i, jak to się kiedyś ładnie mówiło, poprosił mnie o rękę, a potem namówił mnie, że- bym została w Anglii.

Alicja Moskał: Poznałam Jadzię Czerwińską, siostrę mojej koleżanki z uniwersytetu w Polsce. Nie utrzymywały ze sobą kontaktów, bo przecież moja koleżanka nie mogła się przyznać, że ma kogoś za granicą. Powiedziała mi jednak, że gdy będę w Londynie, to mam się skontaktować z jej siostrą. Jadzia zaprosiła mnie kiedyś na kolację do Ogniska. Przyszło tam wtedy pięciu panów. Bardzo ją lubili, bo była świetną śpiewaczką. Najpierw tańczyli z Jadzią, potem ze mną. Każdy z nich wziął ode mnie numer telefonu. Pierwszy zadzwonił mój mąż, to znaczy ja jeszcze wtedy nie wiedziałam, że to będzie mój mąż. Pomieszały mi się nazwiska tych panów, więc gdy nazajutrz zadzwonił jeden z nich i odezwał się do mnie pięknym basem, to nie wiedziałam, który to. Umówił się ze mną na kawę. Tak mnie ujął swoim przepięknym głosem, że zaczęliśmy się spotykać. Znałam go pięć dni, gdy poszliśmy razem do Ogniska na potańcówkę. Ależ on tańczył! Wtedy był modny *rock and roll*, tańczył jak szalony. Jego kolega poprosił mnie do tańca i powiedział: „Mój przyjaciel jest panią zainteresowany i chciałby wiedzieć, czy ma u pani jakieś szanse”. Odpowiedziałam: „Jakie szanse, proszę pana, skoro my się znamy pięć dni? Pana zresztą też po-

znałam tego samego wieczoru, tu nie ma co mówić o jakichś szansach”. A on mówi do mnie: „On myśli o pani poważnie. Nie chciał

Wtedy był modny rock and roll, tańczył jak szalony

mówić sam, bo nie chce usłyszeć odmownej odpowiedzi. Niech mi pani powie, a ja mu to jakoś przekażę”. A ja twardo trwałam przy tym, że nie mogę myśleć poważnie po pięciu spotkaniach. Chodziliśmy więc dalej na te dansingi do Ogniska. Po jakimś miesiącu spotkaliśmy się w eleganckim barze prowadzonym przez siostry Ostrowskie na Fulham Road. Powiedział mi wtedy, że nie żyje z żoną od siedmiu lat, ale nigdy nie starał się o rozwód, bo nie był mu potrzebny. Teraz jednak, gdybym myślała o nim poważnie, zaczęłby sprawę rozwodową. Odpowiedziałam: „Nie chciałabym się tak zupełnie zobowiązywać, ale myślę, że gdyby był pan wolny, to ta wolność mogłaby się panu przydać”.

Życie w Londynie

Halina Taborska: Wydawało mi się, że wyjechałam na krótko. Myślę, że podobnie jest z wieloma młodymi emigrantami dzisiaj. Często się myśli, że wyjeżdża się na krótko. W moim wypadku wyjechałam na krótko, a zostałam pięćdziesiąt dwa lata.

Jak się przyjeżdżało z kraju po takiej wojnie, w takiej sytuacji, w jakiej była Polska komunistyczna, trudno było sobie wyobrazić Zachód. Gdy w końcu dotarłam do Liverpool Street Station, to odniosłam wrażenie, że jest to ohydne miejsce. Było bardzo brudno i wyglądało dosyć staro – to była przecież wiktoriańska stacja, która nie była w ogóle remontowana. Nie był to więc żaden, że tak powiem, oszałamiający widok. Wydawało mi się też, że jest tu ogromne zimno. Nie było to specjalnie

mię. W Polsce, nawet w najgorszych czasach, dobrze działało centralne ogrzewanie, w Anglii go jeszcze prawie nie było. Próbowalam się odnaleźć językowo. Wydawało mi się wcześniej, że dobrze znam język angielski, tymczasem prawie nie rozumiałam, co do mnie mówiono i moi rozmówcy też nie bardzo rozumieli, co do nich mówię. To by było znacznie bardziej stresujące, gdyby nie to, że przyjechałam tutaj do ludzi, których poznałam w Polsce, a którzy tutaj mieszkali.

Przyjechałam do przyjaciół, młodych ludzi, państwa Czajkowskich. Pan Czajkowski nie żyje, był przyjacielem mego męża z powstania, a dokładniej z obozu jenieckiego. Miałam ten komfort, że wchodziłam w środowisko ludzi młodych, mniej więcej moich rówieśników, bardzo mi życzliwych, na których zaproszenie przyjechałam. Bo trzeba było mieć jakieś zaproszenie. Im się nie powodziło zbyt dobrze, ale mieli dom, w którym też mogłam mieszkać. Początki pobytu nie były więc tak stresujące, jak na przykład dziś mogą być stresujące dla młodych Polaków. Wtedy było też znacznie łatwiej o pracę.

Alicja Moskal: Pisałam pracę magisterską na PUNO pod kierunkiem dziekana, generała Mariana Kukiela. To był przedwojenny polski profesor. Od niego odbierałam dyplom magisterski i bardzo się z tego cieszyłam, bo ceniłam go jako historyka.

Atmosfera na studiach była bardzo przyjemna. Wtedy tu było ciekawe towarzystwo, bardzo mieszane. Teraz mamy na studiach dużo młodych, ale wtedy studiowali na przykład piloci, którzy skończyli latać i chcieli uzupełnić swoją wiedzę z innych dziedzin, przeważnie z historii.

Halina Taborska: Okropnie chciałam jednak dostać doktorat z rąk profesora Tatarkiewicza! Więc już stąd, z Anglii,

wróciłam do Warszawy. W 1962 roku pojechałam, żeby obronić pracę doktorską. Moim egzaminatorem był między innymi nieżyjący już Leszek Kołakowski. Potem zostaliśmy przyjaciółmi, w jego angielskich latach, ale wtedy – podczas obrony – myślałam, że mnie po prostu obleje. Zapytał mnie wówczas o porównanie – tyle lat minęło, a wciąż to pamiętam – młodego Marksa z młodym Heglem, a ja o młodym Marksie naprawdę nic nie wiedziałam. W każdym razie otrzymałam stopień doktora. Proszę sobie wyobrazić, że Anglicy uznali ten mój polski doktorat, z kraju za żelazną kurtyną.

Pierwszą pracą w Anglii, którą wykonywałam potem przez wiele lat, była praca konsultanta, doradcy – po angielsku *advisor* – kogoś, kto jest odpowiedzialny za egzaminy z języka polskiego na poziomie maturalnym, z języka i literatury, przy Oxford University Board. Sprawowałam tę funkcję przez dwadzieścia trzy lata.

Miałam dużo szczęścia w tym sensie, że bez trudu włączyłam się w środowisko estetyków brytyjskich. To były wówczas wielkie nazwiska, na przykład Harold Osborne czy Herbert Read. Myślę, że ich troszkę intrygowało to, że ktoś przyjechał zza żelaznej kurtyny i chciał robić doktorat z brytyjskiej estetyki. Chętnie ze mną rozmawiali. Dosyć szybko się zadomowiłam. Byłam na przykład współtwórczynią powstającego wtedy The British Society of Aesthetics. Niedługo potem zaczęłam współpracować z amerykańskim bardzo znanym pismem poświęconym estetyce i krytyce artystycznej. Chodziłam też na zajęcia, również na seminaria doktoranckie, na Uniwersytecie Londyńskim, w Birkbeck College. Byli tam naprawdę znakomici wykładowcy.

Szczęście mi dopisywało, bo nie musiałam się starać o pracę, tylko zostałam

do niej zaproszona. Na jednym z międzynarodowych kongresów podszedł do mnie pewien młody Anglik, mówiąc, że czytał Tatariewiczza. Zapytał mnie, czy nie chciałabym pracować na uczelni, w której on jest kierownikiem wydziału historii

Chodziłam na wszystkie przedstawienia do Ogniska

sztuki. Spędziłam tam długie lata – to była moja pierwsza angielska praca na długi etat. Ta szkoła, bo mówię o niej „szkoła”, dzisiaj stanowi część uniwersytetu, który nazywa się University of the Arts London. Na początku wykładałam historię idei i historię sztuki XIX i XX wieku, teorię sztuki i estetykę. W ogóle nie było wtedy w tym miejscu Polaków, byłam jedyną Polką na uczelni.

Polskie życie

Alicja Moskał: Wcześniej, zaraz po magisterium, zaczęłam prowadzić wykłady i ćwiczenia. Chodziliśmy wtedy często do Ogniska, tam też było bardzo przyjemnie. Generał Anders miał zawsze swój stolik. Przychodziłam tam po wykładach, zazwyczaj szliśmy całą grupą. Zajmowaliśmy całą kanapę i tam był dalszy ciąg dyskusji. No i naturalnie przedstawienia. Chodziłam na wszystkie przedstawienia do Ogniska. Oprócz tego był pokój brydżowy. Mój mąż tam grywał, ja też parę razy. Do Ogniska chodziło się masowo. Nawet byliśmy w Ognisku parę razy na wigilii. Poza tym bywaliśmy też na sylwestrach. Były tam naprawdę wspaniałe sylwestry. No i bale okolicznościowe...

W Ognisku był dobra atmosfera. Tam przychodziła prawdziwa inteligencja. Jeżeli chodzi o stroje, to oni byli nawet zbyt przesadni. Bratowa męża, bardzo eleganc-

ka pani, przyjechała z Kanady i miała na sobie garnitur damski – jak to się mówi po angielsku – *trouser suit*. Nie chcieli jej wpuścić do Ogniska w spodniach i żakiecie. Była szczupła, wysoka, pięknie wyglądała, ale nie chcieli jej wpuścić w spodniach! Mówiłam, że przecież jest pięknie ubrana, ale chodziło o to, że nie miała spódnicy. Nic się nie dało zrobić.

W tym samym budynku na dole była biblioteka i czytelnia, a potem także rozmaite organizacje. PUNO było na ostatnich piętrach – trzecim i na czwartym. Wśród słuchaczy była też żona prezydenta Zalewskiego. Bardzo elegancka pani, jeździła samochodem, zresztą z szoferem. Szoferem była pani pułkownik, która też przychodziła na wykłady. Pani prezydentowa tak lubiła literaturę rosyjską, że prosiła mnie specjalnie o wykłady na ten temat. Odpowiedziałam jej, że musi w takim razie przyjść na Ealing, bo tam na brytyjskich studiach mogę mówić po rosyjsku. Tutaj, na polskich, nie mogę.

Życie było wtedy bardzo ciekawe. Wokół było wiele ciekawych postaci. Była na przykład pewna pani, która szesnaście lat spędziła w Rosji i napisała ciekawą książkę o swoim pobycie. W łagrach spotkała wielu Czechenów, przez co mogłam się od niej dowiedzieć dużo o Czechenach.

A potem PUNO przeniesiono do PO-SK-u [Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego – przyp. red.]. Pamiętam, że mieliśmy maciupeńki pokoiczek, w którym się kitwasiliśmy. Ale praca szła. Na PUNO wykładałam teorię literatury, później zająłam się historią literatury. Teraz wykładałam na historii kultury stosunki polsko-brytyjskie. Przez pół roku miałam jednak problemy z oczami, ale jak Bóg da, to wrócę. To są wykłady, które bardzo się podobają. Uważam, że są bardzo potrzebne.

Halina Taborska: Karierę akademicką robiłam w środowisku brytyjskim, ale miałam też swój wkład w sprawy polskie. Przez dwadzieścia pięć lat każdą wolną sobotę spędzałam nauczając języka polskiego i kultury polskiej w angielskim *college*'u. To był *college*, który miał polskie klasy. I tą drogą zawiązały się moje pierwsze kontakty z PUNO. Przez chwilę pracowałam też w polskiej bibliotece, która wówczas znajdowała się na Kensingtonie u pani Marii Danilewiczowej, z którą bardzo się zaprzyjaźniłam. To był jednak krótki okres, w gruncie rzeczy przez blisko czterdzieści lat pracowałam z Anglikami.

Polacy i Anglicy

Wojciech Falkowski: Anglicy byli ciekawi, co to za ludzie, którzy tu przyjechali. Wypytywali nas o Polskę i komunistów. Opowiadałem, że aresztowania odbywają się nawet o dwunastej w nocy. Zauważyłem, że Anglicy patrzyli na mnie z podejrzeniem: jak to tak można o dwunastej w nocy? Na pewno coś jednak musieliśmy nabroić. Niektórzy po prostu nie wierzyli. A dlaczego? Dobrze pamiętam, że kiedyś w prasie pojawiło się olbrzymie zdjęcie Stalina z podpisem „Our dear uncle Stalin”. To był okres, gdy propaganda angielska pokazywała Związek Radziecki jako wspaniały kraj. Ktoś mi opowiadał, że gdy opowiadał pewnej Angielce, jak został aresztowany, ona powiedziała: „Ja bym tych żołnierzy nie wpuściła do domu!”.

Alicja Moskal: W swoich wykładach zajmowałam się między innymi obrazem Polaków w literaturze angielskiej. Pierwsze lata po wojnie były dla nas dosyć trudne. Nie chciano nas tutaj, panowało bezrobocie, a pojawiło się nagle

bardzo wielu Polaków, przyjechała tu przecież cała armia. Jednak już parę lat po wojnie Polacy zaczęli coraz częściej pojawiać się w angielskiej literaturze i to bardzo pozytywnie. W wielu dobrych powieściach, które można już zaliczyć do klasyki, piękne kobiety były Polkami. Czasami przewijali się też polscy oficerowie.

W wielu dobrych powieściach piękne kobiety były Polkami

Czasem Polacy pojawiali się jako postaci negatywne, zwłaszcza w kryminałach, ale wysokiej klasy.

W ostatnich latach, kiedy jest tu wiele Polaków, znów zaczęliśmy się pojawiać w angielskiej literaturze. Czasami jednak to jest śmieszne – pisarz, dobry pisarz, myśli, że pisze o Polaku, ale my, Polacy, wiemy, że tak nie jest. Na przykład pisarz, który dostał kilka prestiżowych nagród, nadał w powieści Polakowi imię Lew. Owszem, był kiedyś na przykład Lew Sapieha, ale to przecież nie jest polskie imię. W dodatku ten Lew szuka w powieści rosyjskich papierosów. Przecież to jest nie o Polaku, ale o Rosjaninie! Na końcu zaś znajduje się rozdział, w którym autor dziękuje wszystkim Polakom, którzy mu pomogli w napisaniu tej historii.

Mogę przytoczyć jeszcze jedną anegdotę. Gdy tu przyjechałam, poznałam doktora medycyny, który mnie zapytał: „A wy w Polsce mówicie po rosyjsku czy po niemiecku?”.

Halina Taborska: Niestychanie sobie ceniłam, że mogłam dać serię wykładów na Oksfordzie. Pamiętam, że ktoś, kogo dziś nazwalibyśmy woźnym, zawsze mnie tytułował *sir*. Nigdy nie *madam*, tylko *sir*. Nawet napisał mi karteczkę, którą zachowałam sobie na pamiątkę, z tytułem *sir*.

Jakby nie mógł się pogodzić z faktem, że to kobieta prowadzi wykłady dla całej uczelni. W połowie lat siedemdziesiątych było bardzo dużo męskich kolegów, gdzie źle widziano kobiety. Byłam więc *sir* i to mnie bardzo dziwiło. Dojeżdżałam do Oksfordu z Londynu, a w tym czasie zdarzały się częste *power cut* – przerwy w dostawie elektryczności. Raz padał bardzo ulewny deszcz. Wpadłam do budynku zmoczona i nieszczęśliwa, miałam długie i bardzo wiszące włosy. Wtedy ten woźny powiedział do mnie: „*Duckey, don't you worry, nie będzie dzisiaj power cut, ja już sprawdziłem*”. To, jak z *sir* stałam się kaczuszką, również mnie rozbawiło.

Ktoś potrafił napisać z prośbą o samochód, dodając, że może być używany

Wykłady bardzo się udały. Studenci przychodzili, choć uprzedzano mnie, że mogą nie przyjść. Było ich bardzo, bardzo wielu. Temat mojego wykładu przez cały ten *term* brzmiał – jak myślę – bardzo lewicowo. Wykład dotyczył sztuki rewolucji, między innymi sztuki rewolucji w Związku Radzieckim do wprowadzenia realizmu socjalistycznego. Tematyka była więc wówczas dosyć niezwykła jak na Oxford.

Poproszono mnie, żebym uczyła historii idei. Myślałam, że skupię się głównie na psychoanalizie, może też na egzystencjalizmie. Powiedziano mi jednak, bym uczyła marksizmu „bo przecież się na tym znam”. Ostatnią rzeczą, jakiej się spodziewałam w mojej karierze akademickiej, było to, że przyjadę do Anglii i że dostanę propozycję uczenia o Marksie! Wykładałam marksizm cały semestr. To się bardzo śmiesznie skończyło, ponieważ wykładałam też o Mao-Tse Tungu, chińskiej

wersji komunizmu i słynnej czerwonej książeczce. Pewnego dnia przychodzę do *college*, a moi koledzy mówią mi: „Stuchaj, skandal, twoich studentów zatrzymano pod chińską ambasadą – machali czerwonymi książeczkami i coś wykrzykiwali, chyba przeciwko. A potem się okazało, że oni są z Camberwell College of Arts. I to przecież twoi studenci!”. Widocznie dobrze wykładałam, skoro ich zachęciłam, żeby poszli manifestować pod ambasadę chińską (*śmiech*).

W stronę Polski

Halina Taborska: Ludzie w Polsce wyobrażali sobie, że tutaj jest dobrze i za darmo. Mój mąż, który mieszkał w Anglii od młodości, starał się bardzo pomagać ludziom w kraju. Był zdumiony, że wszyscy proszą o drogie lekarstwa. Polakom się wydawało, że to nic takiego – o lekarstwa można prosić. Prośba o książki była zrozumiała, ale ktoś potrafił na przykład napisać z prośbą o samochód, dodając, że może być używany. Naprawdę! Panowała opinia, że nam się tutaj znacznie lepiej powodzi i że właściwie bez trudu możemy pomagać ludziom w Polsce. I rzeczywiście pomagaliśmy. Pomagaliśmy cały czas, chociaż było bardzo trudno.

Wojciech Falkowski: Oglądałem kiedyś w galerii piękne obrazy Mariana Bohusza-Szyszki. W pewnej chwili, kiedy wszyscy wyszli z tej jednej sali, dotknąłem jeden z obrazów, żeby poczuć jego fakturę. I straszna rzecz: zauważył to sam malarz, Bohusz-Szyszko. Mówi do mnie: „No, niech pan dobrze dotknie!”. Od tego zaczęła się nasza znajomość, a potem bardzo bliska przyjaźń. Marian bardzo zachwycał się, widząc ptaki wylatujące wieczorem. Mówił, że lecą w stronę Polski.

Rozmowy z polskimi emigrantami zostały zapisane w maju 2012 roku na potrzeby projektu „Tu polski Londyn. Rozmowy z drugą wielką emigracją”, realizowanego przez Klub Jagielloński w ramach programu Muzeum Historii Polski „Patriotyzm Jutra”. Nagrania rozmów stanowią pomoc dydaktyczną wykorzystywaną w cyklu specjalnych lekcji historii dla gimnazjów i liceów. Członkowie Klubu przeprowadzili kilkadziesiąt takich lekcji w szkołach Małopolski. Notacje, scenariusz lekcji inne materiały pomocnicze dostępne są na portalu www.kresy.pl.

Co dalej?

Polski Londyn to jednak nie tylko ludzie, ale także miejsca. Tuż obok publikujemy krótki przewodnik po stolicy polskiej emigracji.